

XVIII Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Marii Komornickiej
Kozienicki Dom Kultury im. Bogusława Klimczuka – KOZIENICE 2020
Grzegorz Maria Pozimka – kategoria dorośli – proza – wyróżnienie

Godło: Kwa-dra

Powstaniec W

Codziennie przechodziłem przynajmniej dwa razy przez skraj parku miejskiego do huty szkła i z powrotem. Akurat w miejscu, gdzie skręcałem, pół roku temu nie wykręcił radiowóz milicyjny i skasował latarnię. Miesiąc temu Rada Miasta znalazła pieniądze i postawiła nowy słup, a latarnia ma być kupiona jeszcze w tym, a najpóźniej w przyszłym kwartale, tak żeby zdążyć jeszcze przed zimą. Na razie przy nie oświetlonym słupie codziennie stoi dwóch mężczyzn w jednakowych kurtkach, jakby z darów, z jednej paczki. Jednego to znam, też pracował w hucie, więc jak ich mijam to żartujemy, że pilnują latarni. Ten drugi patrzy na mnie spod łba, podejrzanie słuchając każdego słowa, które wypowiadam. Na początku ten znajomy pytał mnie.

- Co tam w hucie?

- Jak nie ma ciebie, to nie ma już z kim pić – odpowiedziałem tak, bo dał się złapać na picie wódki na terenie zakładu i wyrzucili go za bramę. Teraz po roku widuję go z powrotem, jak razem z tym drugim, którego imienia nie znam, a zresztą nigdy nie chciałem poznać, stoją trzy razy dziennie zawsze w czasie, kiedy pracownicy idą do pracy, a więc od wpół do szóstej do wpół do ósmej i od wpół do drugiej do wpół do czwartej po południu, i jeszcze wieczorem od wpół do dziesiątej do jedenastej. Taka służba, a potem po wypłatę do kasy w Komendzie Milicji Obywatelskiej.

Nie raz ich omijałem idąc przez park. Kiedyś wiosną wyszedłem wcześniej do pracy na popołudniówkę i szedłem właśnie przez park, a na przeciwko mnie jechał, próbował podjechać na wózku inwalidzkim starzec, który na twarzy miał wypisane całe swoje życie. Wyglądał jak menel, jakieś plamy sine na twarzy, guz na głowie, albo zwyrodnienie. Kiwnął na mnie. Pomyślałem, że pewnie coś chce ode mnie, papierosa lub pieniądze. Podeszedłem z obojętnością.

- Popchnij mnie zdobędziemy to wzgórze – powiedział podekscytowany i wyczerpany już kręceniem kół.

Wyprostowałem wózek i skierowałem ku wzniesieniu.

- Szybciej, bo nie zdobędziemy – popędzał mnie głosem, jakby od tego zależało jego, nasze życie.

Nagle za nami usłyszałem krzyk biegnącej kobiety.

- Zostaw go. Gdzie go pan wiezie – krzyczała podbiegając.

- Kto to? - spytałem starca.

- To Sucha. Jest taka sama, jak jej matka.

Kobieta już podbiegła i wyrwała mi wózek z rąk. Była silna i stanowcza, i rzeczywiście była sucha na twarzy.

- Proszę oddać mi wózek i nie wtrącać się. Gdzie ja bym szukała dziadka, gdyby pan go gdzieś wywiózł? - mówiła zdenerwowana.

Kiedy się oddalali stałem jak wryty, ale też pomyślałem sobie, że dobrze się stało, kiedy nic się nie stało. Miesiąc później, kiedy zieleń zrobiła się bardziej soczysta i kolory zaczęły wybuchać w różnych miejscach parku, choć wydawało się, że po 1981 już nic nie zakwitnie nagle wszystko zaczęło pachnieć i przyciągać do siebie. Po wyczerpującym akordzie w hucie zwalniałem w parku i ja, by nacieszyć się urokami przyrody. Kiedy właściwie schodziłem już z alejki na betonowy chodnik ulicy natknąłem znów się na tego starca z bliznami na twarzy i siedzącego na wózku. Chyba poznał, bo kiwnął na mnie.

- Teraz pchaj mnie. Zdobędziemy to wzgórze – mamrotał, ale rozumiałem go – pchaj.

- A ta pani? - spytałem na wszelki wypadek.

- Zdążymy przed Suchą. Pchaj – popędzał.

- Tam jest tylko nasyp kolejowy, a niżej tory – powiedziałem mu, bo chyba nie wiedział.

- Pchaj – popędzał mnie. Wzięłem wózek i pchałem, i chyba dosyć szybko, bo dziadek zaczął krzyczeć i wymachiwać jedną ręką – Na Prusaka! Do broni! - Zważyłem i zwolniłem.

- Ale tam nie ma nikogo, a zwłaszcza Niemców.

- Są, ukrywają się.

Za sobą usłyszałem wołanie Suchej. Zatrzymałem się i odwróciłem wózek. Czekaliśmy.

- Co pan znów robi? Nie będę za każdym razem ojca szukała po parku, po całym mieście - powiedziała dobiegając.

- Przepraszam, ale starszy pan mnie prosił byśmy zdobyli to wzgórze – wyznałem skruszony.

- To pan jest dzieckiem? Bawi się w podchody? Ojciec myśli, że jest rok 1919 i trwa powstanie. Wielkopolskie – dodała po chwili sądząc, że ja może nie wiem.

- Przepraszam, ale nie wiedziałem, starszy pan nic nie mówił.

- Ale to co mówił wystarczy – przerwała mi – Bo przekonał pana.

- Przepraszam jeszcze raz, przepraszam – głupio się czułem. Głupio.

Odszedłem i myślałem, że zapomnę tak jak ostatnio. Niestety, ile razy przechodziłem przez park, lub obok myślałem o starcu na wózku i rozglądałem się naokoło, czy przypadkiem znów mnie zniecka nie zaatakuje. Na szczęście tamto wydarzenie oddalało się i zamazywało. Ale idąc kiedyś na skróty między blokami natknąłem się na postać starca siedzącego na swoim

zdevaluowanym wózku. Długo się wpatrywał we mnie zanim mnie poznał. Ale kiedy zbliżyłem się na odległość wyciągnięcia ręki zawołał.

- Druhu. Dzisiaj ruszamy.

W drzwiach klatki schodowej stanęła Sucha w młodszym wydaniu, która uśmiechając się spytała.

- A dokąd dziadku ruszamy?

- Dobrze, że to ty, a nie Irena.

- Mama jest zajęta. Dzisiaj ja cię obwiozę. A pan zna mojego dziadka?

- Pewnie, że się znamy. Razem zdobywaliśmy wzgórze i tory kolejowe i gdyby nie twoja mama to byśmy zdobyli – dziadek powiedział chyba za dużo słów, bo ostatnie wymamrotał.

Dziewczyna chustką wytarła usta starcowi. Na imię miała Beata. Ja powiedziałem swoje, że Stanisław.

- Staszek. W twoim wieku to lepiej Staszek – powiedziała to z takim wdziękiem, że od razu ją polubiłem – Jedziesz z nami? Dzisiaj zdobędziemy górę i tory kolejowe. Prawda dziadku?

Pojechaliśmy. Pomogłem w parku pod górę pchać wózek, który ze starcem sporo ważył i byłem pełen podziwu dla Beaty, że taki ciężar brała na siebie. Jechaliśmy. Wózek i dziadek trzeszczał. Stary człowiek poganiał mnie, nas, byśmy biegli szybciej. Krzyczał i wymachiwał rękoma. Jego euforia udzielała się również nam, bo biegliśmy coraz szybciej podżegani do walki z wrogiem. Ludzie z alejek patrzyli co za wyścigi urządzamy w parku i się uśmiechali. Nareszcie dobiegliśmy na szczyt wzgórza. Oczywiście dziadek pierwszy, ja od razu za nim. Trzeba było widzieć rozpromienioną twarz powstańca przez którą w jednej chwili przebiegła przed oczyma zwycięska potyczka z wrogiem.

- Zdążyliśmy! Tory ocalone! – mamrotał śliniąc się cały podekscytowany.

Mnie też udzieliła się jego radość ze wspólnego zwycięstwa.

- Zwyciężyliśmy – powiedziałem do Beaty, która zmęczona doszła do nas. Oparła się ręką o moje ramię, śmiejąc się i rumieniąc na przemian.

- Przepraszam, ale te bitwy nie dla mnie.

Wytarła znowu dziadkowi usta chusteczką z materiału. Wróciliśmy pod blok, gdzie w oknie wyglądała za nami Sucha. Od razu zauważyła u dziadka na twarzy nowe czerwone plamy.

- Za zwycięstwo płaci się krwią – odpowiedział dziadek na zarzuty córki.

Chodziłem teraz często do ich mieszkania i nie powiem, czułem się dobrze. Dziadek miał wreszcie komu opowiadać o kampanii...ze stycznia 1919, a jak pani Irena zdecydowała, że dziadek czuje się na tyle dobrze, że może wyjechać na spacer to jechaliśmy w trójkę nawet za park, gdzie były tory kolejowe i co jakiś czas dudnił parowóz z wagonami z węglem. Dziadek był w swoim świecie. Opowiadał nam to co sam przeżył i to co inni, często jako swoje przeżycia, te z 1919 i z lat pierwszej wojny światowej, a my słuchaliśmy trzymając się z Beatą za ręce.

Tak minęły miesiące letnie. Z Beatą jeszcze mocniej trzymaliśmy się za ręce i nie przeszkadzały nam, spojrzenia i drwiny niepewnych spod niedokończonej latarni. Szliśmy już swoim życiem często wzdłuż torów kolejowych. Na twarzy panu Józefowi pojawiły się nowe plamy, na które lekarze nie mieli lekarstwa, tak że pani Irena musiała sama wymyślać i przyrządzać okłady, by plamy nie były tak zaognione. W miesiącu wrześniu przyszło zaproszenie dla Pana Józefa, by jako Powstańiec Wielkopolski, już jako jeden z nielicznych wziął udział w obchodach Ludowego Wojska Polskiego. Pani Irena była przeciwna, by uczestniczyć w stanie wojennym w jakikolwiek obchodach, a tym bardziej, że ojciec czuł się słabiej. Coś innego było przed 1981, ale teraz nie było nawet pozorów. Pokazała ojcu zaproszenie. Pan Józef się ożywił. Przypominał sobie ostatnie spotkania z żyjącymi jeszcze kolegami z pierwszej wojny światowej i z powstania. Od razu się zgodził. Pani Irena wiedziała, że będzie musiała zrobić może ostatnią przyjemność swojemu ojcu. Wiedziała, że wszystko jest na jej głowie. Wyciągnęła z szafy pierwszy mundur ojca schowany dla ochrony w pokrowiec z materiału i powiesiła go na szafce meblościanki w gościnnym pokoju. Jak pan Józef zobaczył swój strój nawilgotniły się jego oczy, a w jego wieku trudno było wytoczyć łzę. Gdy ja zobaczyłem po raz pierwszy mundur też byłem zdziwiony, ale pani Irena znając historię swojej rodziny powiedziała mi, że jej ojciec został wcielony do armii pruskiej i walczył w czasie pierwszej wojny światowej. Po zakończeniu wojny w grudniu powrócił na Kujawy, by już pod koniec miesiąca wstąpić do oddziału powstańczego. Dlatego taki mundur. Zniszczony, ale historyczny.

W jesienny słoneczny dzień wyjechaliśmy z dziadkiem, pani Irena, Beata i ja, który pchałem wózek w czasie drogi. Już po chwili zobaczyli nas dwaj obserwatorzy spod latarni zdziwieni strojem dziadka. Ten drugi od razu podbiegł do stojącego za skrzyżowaniem radiowozu i coś powiedział, chyba coś nieprzyjemnego, bo z samochodu wyskoczyło dwóch milicjantów, którzy od razu przybiegli do nas.

- A co to za maskarada!?! – krzyczał wyższy rangą.

- Jedziemy z ojcem na święto Wojska Polskiego – oświadczyła spokojnie pani Irena i wyciągnęła z torebki zaproszenie od dowódcy garnizonu – Ojciec jest Powstańcem Wielkopolskim – dodała.

Dowódca po przeczytaniu zaproszenia zmieszał się i zaczerwienił. Myślał przez chwilę co zrobić?

- Proszę jechać, my pojedziemy za obywatelami, za państwem – dodał.

- Proszę się rozejść. Jest zakaz zgromadzeń – krzyknął młodszy rangą milicjant do gromadzących się wokół wózka osób.

I tak jechaliśmy z dziadkiem Powstańcem przez miasto do koszar, wzbudzając nie małą sensację w mieście. Przy nas jechał radiowóz, na szczęście nie włączył koguta, a za nami szli ludzie zaciekawieni zaistniałą sytuacją. Starszy pan czuł się, jak w czasie ataku

na nieprzyjaciela i że to on dowodzi. Bo on jedzie na przodzie, a za nim nacierają ludzie i jeszcze to wsparcie samochodu bojowego. Brama do koszar była w święto szeroko otwarta dla społeczeństwa i spokojnie wjechaliśmy na dziedziniec. Milicjant wysiadł z samochodu i coś mówił do oficera zajmującego się przygotowaniami do capstrzyku, ten podszedł do nas, a poznawszy Pana Józefa skierował nas do sektora dla zaproszonych gości. Pan Józef, Powstaniec Wielkopolski jechał w swoim pierwszym, szarozielonym, wytartym pruskim mundurze, z przypiętym do piersi Wielkopolskim Krzyżem Powstańczym. W zdewaluowanej rogatywce, na której znajdowała się kokarda w barwach cesarskich: czarno-biało-czerwonych, oraz polski orzełek doczepiony chyba później, nie pośrodku. Z opaską biało-czerwoną na rękawie. Rękę wznosił witając kolegów z zimy 1919. Zostało ich już tylko ośmiu. Nie dostrzegł swoich dwóch najlepszych kompanów. Oni polegli, w ubiegłym roku. Dla Pana Józefa to była ostatnia bitwa. Wśród okrzyków i radości ręka bezwładnie mu opadła, głowa opadła na pierś. Zauważyłem, chyba pierwszy, że coś jest nie tak i podtrzymałem go by nie spadł z wózka. Lekarz wojskowy na polu ostatniej bitwy pana Józefa stwierdził zgon.

W kostnicy oddano nam mundur z orderem i czapkę. Wracając pod wieczór usłyszeliśmy od strony koszar wystrzały fajerwerków, które nad miastem rozbłyskiwały rzucając kolorowe światła na szare, przyciemnione zaułki i ulice. Oburzony coś wybąkałem, ale pani Irena mnie sprostowała.

- Możemy pomyśleć, że te salwy to na część twojego dziadka. Należał do zwycięzców - powiedziała do córki i ręką przytuliła ją do siebie.